

Camping państwa Johnson na stokach Kilimandżaro

Leży przede mną książka Martina Johnsona — „Lot nad dżunglami Afryki” (Biblioteka podróży — Trzaski, Ewerta i Michalskiego). Autor jest twórcą niemal wszystkich amerykańskich filmów podróżniczych, nakręconych w Afryce, czy południowo-wschodniej Azji. Wyprawę, o której pisze odbył na samolotach. Przeleciał nad całą Afryką od Capetown do Tunisu, ale właściwą bazą wielokrotnych wycieczek było miasteczko Nairobi, między Kenią a Kilimandżaro. Widział tu tysiące słoni spacerujących stadami, po 100 do 500 sztuk — a coś dopiero pomniejszej zwierzęcy. O ilości lwów w tamtych stronach świadczy fakt, że kiedy włókł za autem na sznurze zabita zebra, z tyłu biegnęło kilkanaście lwów. Złociło je, że zebra porusza się po trawie, więc skakały na nią i jęczały tak na przyczepkę.

„Autor ma zdaje się słabość do lwów, natomiast nie lubi lampartów, bo wielokrotnie na niego na padają. Pani Johnson natomiast ma wyraźny wstręt do nosorogów. Te odrażające bydlęta zachowują się w ogóle bardzo dziwnie. Gdy spostrzegą człowieka, od razu przechodzą do ataku, podbiegają na odległość kilku metrów, ale tu często nie „wytrzymują” nerwowo.”

Straszne zwierzę nagle zwraca i ucieka w popłochu. Oczywiście niezawsze, a wtedy bywa źle. Otóż pani Johnson (nie wiem dlaczego właśnie ona) służyła mężowi „za wabika” na nosorożca, ale zwykle sama nie wytrzymała nerwowo i strzelała do zwierzęcia.

Nosorożec jest krotkowiedzem — tak dalece, że czasem bierze samochód... za innego nosorożca. Raz nawet samica nosorożca zaczęła nieśmiało zalecać się do autora, którym jechał Johnson z żoną. Dopiero po upływie kwadransa spostrzegła swój błąd i mszcząc się za despekt wyrzuciła go z samochodu.

PAWIANY
A oto kilka obrazków z życia kolonii pawianów nad rzeką Guaso - Neyro.

„Jeden z pawianów zdawał się być czymś w rodzaju wodza. Miał on swoje własne miejsce w rozkładu gęstwy i siadywał nieraz tam godzinami. Dopóki mógł patrzył na nas, a następnie aby ukryć to, ziewał. Czasami ziewał tak uporczywie, że mógł poprostu zarazić ziewaniem, a gdy śmieszny się z niego, tak go to gniewało, że jęczał i kłął nas.

Mogę przysiąc, że kłął naprawdę, głos jego wtedy bowiem brzmiał całą skalą dźwięków, co sprawiło na mnie wrażenie, że używał wszystkich znanych przekleństw.

Wkrótce rozróżniliśmy już po szczególne rodziny, zarówno jak i poszczególne jednostki, widywaaliśmy bowiem co dnia te same grupki razem. Matki i ojcowie częstokroć szturgali młodzież, tak że małe dzieciaki przewracają się na boki.

Wtedy się puszczają i skrzecząc fle im starczyło tchu w płucach. Na takie nieporozumienia rodzinne, obce małpy nie zwracają najmniejszej uwagi. Jeżeli jednak członek jednej rodziny uderzył dzieciaka, należącego do innej — wtedy wybuchła bójka. Te bójki między rodzinami odbywały się w wielkim podnieceniu i ze strasznym krzykiem. Zdawało się nieraz, że małpy rozeżarpią się wzajem na strzepy; nagle walka urwała się tak szybko jak powstała i obie rodziny wracały do swych zajęć, jakby w ogóle nic nie zaszło.” (b-g).



TO NAJLEPSZY PODAREK
OBDAKOWANI MA PRAWO ZAMIANY
LESZCZKOW
ZARŁADY SOŁN - PRZEM. ROMANA ZURKOWSKIEGO
SKŁADY WŁASNE

Warszawa: Al. Jerozolimskie 20
Krak. Przedm. 13
Włocławek 2

Sztuka pisania w Chinach Listy Synów Nieba

Przysłowia chińska grzeczność ujawnia się przede wszystkim w listach. Przy prowadzeniu korespondencji w Chinach obowiązuje specjalny i bardzo obszerny regulamin, którego główną zasadą jest poniżanie siebie, a wychwalanie zalet i bogactw adresata listu.

Należy tytułować go stale „starszym bratem” i wypisywać jego imię wielkimi literami (znakami) swoje zaś jak najdrobniejszymi. Mówiąc o swej rodzinie obowiązkowo trzeba dodać: „my nędzne mrówki”.

List powinien zaczynać się od słów: „Oby wszystkie błogosławieństwa spływały na Ciebie, tak-
kie jest gorące życzenie twego młodszego brata”.

Zaproszenie na wizytę winno być zrehabilitowane w ten sposób: „Nizej podpisana, pełna czci małpa, wyciąga ręce błagalne do Waszej Eksceleńcy i prosi Ją, aby raczyła przybyć do ruin jej nędznego domu”.

Ojciec młodzieńca, który zamierza wstąpić w związek małżeński pisze do ojca panny: „Na kącikach błagam Pana, przyjmij moją pokorną prośbę i wydadź Córkę Swoją za mego niewolniczego syna, aby mogli prowadzić złote życie, złączysz się jedwabną nitką miłości. Z początkiem wiosny przysyłaj jej podarek weselny, czyli parę gęsi, która im przyniesie szczęście, spływające promiennie na nieskończony łańcuch przyszłego pokolenia. Rzuć swój lustrzany wzrok na tę godną uwagi sprawę i nie odmawiaj”.

Syn Nieba wysyła list „z nędznej lepianki do wspaniałego pałacu z pereł i drogich kamieni starszego Brata” adresując: „Do Mojego Najdoskonalszego Brata Starszego, wspinającego się po szczytach szczytów”.

Siedem zegarów Paryża reguluje życie stolicy Europy

Paryż, w grudniu
Człowiek chce mierzyć czas dokładnie, najdokładniej i dlatego ponosi największe trudy. Zatrzymajmy do tej świątyni, gdzie się go określa, z dokładnością do 0,001 sekundy.

W podziemiach paryskiego obserwatorium, głęboko na 27 m., stoi 7 zegarów, każdy na osobnej podstawie pod szkłem, uszczelnionym przeciw wilgoci masą podobną do wosku. Są one tak delikatne i wrażliwe, że nawet chwilowa obecność ludzka jest niepożądana, gdyż podnosząc chociaż w tak minimalnym stopniu temperaturę, może wpłynąć ujemnie na ich działanie.

A działanie to musi być sprawne. Rzesze radioluchaczy z całym zaufaniem przyjmują czas, podawany przez obserwatorium. Wielkie tarcze (umieszczone na piętrze domu) naszych siedmiu samotników z podziemi, dają czas, który w porównaniu z tym, jaki wskazuje układ gwiazd, jest podawany całemu krajowi.

W tym tak precyzyjnie pracującym światku, obecnie coś się popsuło. Nie żeby jakieś katastrofalne zatrzymanie się zegarów, lecz mała drobna niedokładność. Greenwich, od którego liczą się południki, a co zatem idzie i czas, sygnalizowało opóźnienie.

I oto dwaj starsi poważni panowie, dyrektorzy obserwatorium w Greenwich i obserwatorium paryskiego radzą już od paru godzin —

„Pod zarządem przymusowym”

Dziś przeżabawna krotkowiec „Pod zarządem przymusowym” z Niemirzanką, Martini, Masłowską, Bukojemską, Magierówną, Chmurkowskim, Zabczyńskim, Norkim, Frenklem, Karczewskim, Jarolimem i Zejdowskim. Reż. Niewiarowicz, dekoracje Jarockiego.

Nad małą drobną częścią sekundy. Nad obserwatorium zawisła złowroźna cisza, która kryje gorączkową pracę. Wozni co chwila z wielkim pośpiechem przelatują na palcach, niosąc przeróżne wykresy, a na wszelkie usiłowania zobaczenia

się z kimkolwiek, odpowiadają od-
mownie.

Coś się popsuło w państwie gwiazd i czasu, troszkę, troszeczkę, ale trzeba to niezwłocznie naprawić, aby nie rawieć pokładanego zaufania.

Rozdzwonione ulice Chińskie zwyczaje

Europejczyk przybywając do japońskiego miasta może dostać rozstroju nerwowego od ciągłych dzwonek i łoskotu drewnianych chodaków japońskich t. zw. „geta”. Te drewniane sandały, które noszą starzy i młodzi Japończycy, mężczyźni, kobiety i dzie-

cienników pod pachą, ale nie wykrzykują tytułów lecz dzwonią przeraźliwie. Gdy przez ulicę biegnie kilku kolporterów, to dźwięk dzwonek zagłusza roznoszący głosy syren samochodowych. Często przechodząc kupuje gazetę jedynie poto aby

Właściciele kramów ulicznych, papieru, to też pożary wybuchają tu bardzo często. Aby temu zapobiec, kilku stróżów nocnych krąży od domu do domu i gdy spostrzeże jakiś podejrzanym dym zaczynają ze wszystkich sił dzwonić.



ci powodują taki łoskot, że zagłuszają często inne dźwięki wielkomiejskiej ulicy.
Co chwila na ulicy rozlega się dźwięk dzwonka. To dzwonią sprzedawcy gazet. Młodzi chłopcy ze skośnymi oczyma biegają po chodnikach ze stertami świeżych

pozbyle się kolportera i nie słyszeć pięknego dzwonienia.
W nocy przechodząc ulicą japońskiego miasta czy wioski słyszy się od czasu do czasu głos dzwonka. To nocny stróż daje znać o sobie. Domy w Japonii budowane są z cienkich deszczek i

którzy sprzedają na chodnikach ryż, cukier i herbatę także dzwonią albo grają na fletach aby w ten sposób zwać publiczność. To też ulica japońska, jak żadna chyba inna ulica na świecie, jest rozdzwoniona i rozegrana.

FUTRA DOROCZNA SPRZEDAŻ GWIAZDKOWA
Tylko 7 dni. Ceny niższe 25%
DUŻY WYBÓR MODELI
JULIA UJEJSKA Nowy Świat 29

Nieznany utwór Schumanna tematem andycji radiowej

Nie dawno odbyło się w Berlinie pierwsze europejskie wykonanie nieznanego dotychczas Koncertu Skrzypcowego Schumanna. Koncert ten transmitowany był już przez Warszawę II, a wykonanie jego utrwalone zostało na taśmie dźwiękowej. Obecnie dzieło to, nadane zostanie dla radioluchaczy wszystkich polskich rozgłośni w poniedziałek dn. 27.XII. o godz. 17.15.

Koncert ten skomponował Schumann pod koniec swego życia i przekazał go do wykonania synowi, wówczas skrzypkowi Joachimowi. Joachim koncertu nie wykonał i z powodów nieznanych pozostawił w swym testamencie dyspozycję, aby

utworu tego nie grać przed upływem oznaczonego dłuższego terminu.

Dopiero obecnie udało się nakłonić spadkobierców Joachima do wydania cennego rękopisu i zapoznać z dziełem nieśmiertelnego mistrza cały muzyczny świat. Wydobyte na światło dzienne Koncertu Skrzypcowego Schumanna jest prawdziwą rewelacją, tym bardziej, że utwór ten wędrował niewątpliwie w stały repertuar koncertowy skrzypków.

Radioluchacze usłyszą go w wykonaniu niemieckiego skrzypka Kulenkampffa i orkiestry Filharmonii Berlińskiej pod dyrekcją Böhma.

PALTA L. CZAPIŃSKI

Warszawa
ZÓRAWIA 31,
tel. 851-01

JERZY MARIUSZ TAYLOR

40)

CZCICIELE WOTANA POWIEŚĆ

ROZDZIAŁ VI

**Z KTÓREGO CZYTELNIK DOWIADUJE SIĘ
O PEWNYCH ROZMOWACH, JAKIE MIAŁY
MIEJSCE W SKLEPIE WDOWY KLEIN**

Wdowa Klein — tęgą, ruchliwą blondynką o szarych, nieco już wyblakłych oczach, nie należała do rzędu tych kobiet, które, pochowawszy męża, oddają się nieproduktywnemu rozpamiętywaniu swego bólu i ciągłym wyrzekaniom odstraszającym przyjaciół. Wdowa Klein, kiedy przytrafiło się jej to nieszczęście, uznała od razu, że pozwalanie sobie na takie słabości, jak ronieć i żałować, to w rzeczywistości jest dla niej w brachu tej czy innej sentymentalnej sąsiadki byłoby w jej położeniu co najmniej karygodną stratą czasu.

Piszczała przecież w domu dwoje drobnych sierot — Hans i Greta, którym trzeba było wetknąć coś do głodnych dzióbków, przynosić je jako tako i we właściwym czasie posłać do szkoły. To były takie śliczne maleństwa, takie miały uroczyste dołeczki na pyzaty, różowych policzkach i takie śmiesznie zadarte noski, że na pogrzebie zachwycali się nimi wszyscy. (Ach, arme schoene Kinder!). A poczyty pastor Michels, przemawiając nad otwartą mogiłą, zwrócił się w pewnym miejscu do sierotek, zapewniając je, że matka będzie dla nich odłą i matką i ojcem.

Wobec tego wdowa Klein, zamiast lamentować niepotrzebnie po swoim ukochanym nieboszczku, zakasała rękawy i zabrała się do roboty ze zdwojoną energią, pamiętając, że teraz jej dwie samotne ręce muszą wykonać tę samą, a może nawet i większą ilość pracy, którą przedtem wykonywały cztery.

Wyniki tego nawskroś realistycznego ujęcia sprawy były najzupełniej ponurym. Nie będzie chyba przesadą twierdzenie, że obroty sklepu podwoiły się od chwili, kiedy zasnął na wieki Albrecht Klein — mały, chorowity człowieczek z ryżową brodką i takimi samymi wąsami, którymi rusał zawsze niby ciekawy szeszur.

Zaczęło się to już w tym samym dniu, w którym doczesne resztki utrudzonego ciągle krętaniną sklepikarza spoczęły pod matą i jak on sam cherlawą brzošką na ustronnym cmentarzu wiejskim. Wprost z pogrzebu cała starszyzna kolonii, poważni, brodaci mężczyźni, z sołtysiem Erninem na czele, przyszli do sklepu. Sołtys Ernin lubił przestrzegać dawne, dobre zwyczaje, więc zawczasu jeszcze postał po piwo. Były całe dwa antalki. Teraz zatem każdy wysupiał, ile od niego się należało i poczęli popijać, chwając nieboszczką. Piwo — wiadoma rzecz — wymaga przekąski. No, to wszystko, chwata Bogu, znalazło się w sklepie. Ile tylko było kiełbasy, kaszanki, bułek i chleba — rozkupili dobrzy goście, a nazajutrz wdowa Klein miała półki puste, znalazła się za to w posiadaniu sumki, jak na jej warunki bezsprzecznie poważniejszej.

Nie namyślając się wiele, użyła tych pieniędzy na natychmiastowy zakup świeżego towaru, uzupełniając swe zapasy, a nawet znacznie je powiększając, co świadczyło o dużej przeczności i umiejętności przystosowania się do nowych warunków życiowych, bo nie mogła przecież przewidzieć, że cała kolonia, jak na komendę, zacznie się odgąd zaopatrywać w jej sklepie. A tak się stało właśnie. Popieranie sklepu owdowiałej kobiety koloniści potraktowali jednomyślnie jako obowiązek, jako rodzaj pomocy społecznej, której należało udzielić pozabawionej opieki męskiej rodaczce. Potrzeby spożywcze naraz wzrosły. Jedna, druga i dziesiąta kobieta powiedziała sobie, że nie opłaci się wypiekać chleba w domu, skoro w sklepie można dostać zawsze świeży, a mężczyźni też nagle stali się wybredniejsi w jedzeniu, wzmożł się więc popyt na wędliny, sery i śledzie wędzone.

A wdowa Klein wykazała tyle przedsiębiorczości i sprytu handlowego, że nauczyła się wyrabiać pyszne kiełbasy, kiszki kaszane, ba! Nawet delikatne parówki i serdelki, zakupując cały potrzebny na ten cel chrząkający surowiec wyłąc-

nie u swych sąsiadów, co wzmogło oczywiście sympatie ogółu dla energicznej sklepikarki.

Dzięki niej przecież powstała w osadzie nowa placówka przemysłowa, która wraz z młynem, przedsiębiorstwem przewozu przez rzekę, spółdzielnią handlową i wielu inn. instytucjami gospodarczymi służyła skutecznie idei samowystarczalności, której kolonia Na Grobli wzorem innych osad niemieckich hołdowała od czasów niepamiętnych.

Wdowa Klein zaś, przysporzywszy swej rodzinnej osadzie nowego zakładu przemysłowego, w którym znalazły zatrudnienie dwie hoże, oczywiście miejscowe, dziewczyny, wcale nie spoczęła na laurach. Duże doświadczenie życiowe powie-
działo jej bowiem, że to, co zdarzyło się w dniu pogrzebu drogiego nieboszczka, mogłoby powtórzyć się jeszcze i stać się zjawiskiem zwykłym, codziennym, jeżeli jakąś izbę przeznaczoną dla gości. A kolonia Na Grobli poza szkołą i obszernym mieszkaniem sołtysa nie miała żadnego lokalu, w którym mogłyby się odbywać jakieś zebrania prywatne. Innymi słowy, nie było w zamkowej osadzie tej zacisznej przystani, ze względu na neutralność swego gruntu predestynowanej w sposób szczególny dla omawiania zarówno doniosłych zagadnień społecznych, jak i drażliwych spraw osobistych, która zwie się restauracją, względnie też nosi skromne miano piwiarni.

Powziąwszy takie przekonanie, wdowa Klein postanowiła zaradzić brakowi i, przy fachowej pomocy cieśli Hermana Buscha, który był bezpośrednim jej sąsiadem, przekształcić niebawem jedną z dwóch posiadanych przy sklepie izb na wygodny pokój gościnny, zaopatrując go w kilka kompletów warszawskich i bilard.

Powstało w ten sposób coś w rodzaju niezmiernie intymnej Bierstuby, do której z pełnym zadowoleniem poczęli uczęszczać mieszkańcy kolonii Na Grobli. Nie było takiego wieczora, żeby w piwiarni wdowy Klein nie siedziało kilku, albo i kilkunastu poważnych obywateli, spijających piwo i przesuwających w skupieniu grube krawki na czarno-białych szachownicach. Nawet i sołtys zachodził tu niekiedy pogwarzyć ze swoim starym przyjaciąłem pastorem, z którym od pewnego czasu pogodził się znowu i miewał jakieś tajemnicze konszachty.

(U. c. n.).